

STAŁEM NA PLAKACIE OBOK GAJOSA

JUŻ W NAJBLIŻSZY PIĄTEK WARSZAWSKI TEATR MONTOWNIA PO RAZ KOLEJNY WYSTĄPI NA OLSZTYŃSKICH SPOTKANIACH TEATRALNYCH. JEDEN Z JEGO AKTORÓW PRZEZ DŁUŻSZĄ CHWILĘ BYŁ DZIENNIKARZEM, MÓGŁ TEŻ ZOSTAĆ FIZYKIEM. WIĘKSZOŚCI TELEWIDZÓW ZAPADŁ W PAMIĘĆ DZIĘKI ROLI PREMIERA POLSKI W SERIALU „EKIPA”.

Z Marcinem Perchuciem rozmawia Mateusz Przyborowski



— Kiedy ostatni raz był pan w Olsztynie?

— Bodajże rok temu z teatrem Montownia i spektaklem „Trzej muszkietierowie”, również na Olsztyńskich Spotkaniach Teatralnych. Jeździmy do Olsztyna regularnie. W sumie byliśmy z dziesięcioma różnymi spektaklami. Olsztyńska widownia jest wyrobiona i zawsze dostajemy zwrotną informację, że oczekuje się nas z kolejnym przedstawieniem.

— W piątek teatr Montownia, którego jest pan aktorem, wystąpi podczas Olsztyńskich Spotkań Teatralnych ze spektaklem „Quo vadis”. Montownia to teatr absurdu, ale inteligentnego. Pokażecie Rzym w... skrzyni. Bardzo ciekawe!

— Nasz teatr nazwaliśmy ubogim z elementami śpiwowogry. Jesteśmy grupą, która nie ma rozbuchanych ambicji scenograficznych. A skrzynia? Od 18 lat istnienia teatru wykorzystujemy podstawowe przedmioty, jak szafa, stół, krzesło czy skrzynia. I używamy ich w różnych możliwych konfiguracjach. Więc dlaczego nie pokazać Rzymu w skrzyni (śmiech)?

— Dlaczego sięgnęliście akurat po ten tytuł?

— Zawsze zależy nam na tym, żeby pokazać historię. A że „Quo vadis” jest wielką epopeją, wielkim dziełem Henryka Sienkiewicza, to stwierdziliśmy, że po „Trzech muszkietierach” warto sięgnąć po tę powieść, zmierzyć się z nią przy wykorzystaniu czterech aktorów płci męskiej i opowiedzieć tę coraz bardziej aktualną historię.

— A co z historycznym uniesieniem, emocjonalnym ciężarem Sienkiewicza?

— Będziemy starali się to wszystko obśmiać, ponieważ historia jest już tak napompowana i bohaterowie tak nieskazitelnie czysti, że aż niewiarygodni. Postaramy się pokazać ludziom ten świat może trochę w krzywym zwierciadle, ale przede wszystkim przybliżyć jego wady, różne słabości. Do tego dołożymy absurdalne poczucie humoru i zderzymy się z rzeczywistością. Podkreślałem to zawsze: dzisiaj „Quo

vadis” nabiera zupełnie innych znaczeń.

— Nie boicie się krytyki ze strony widowni? Henryk Sienkiewicz — noblista, ważna, historyczna postać dla Polaków. A tu przyjeżdża teatr Montownia i pokazuje jego dzieło w krzywym zwierciadle.

— Ostatnio wśród widowni na naszym spektaklu był emerytowany profesor jednego z uniwersytetów. Powiedział po jego zakończeniu, że nie spodziewał się, że jego głowa może otworzyć się na różne absurdy. Był zachwycony i następnego dnia przeprowadził do teatru całą swoją rodzinę. Po co to robimy? Właśnie po to, by spojrzeć z innej perspektywy, dobrze się pobawić i zobaczyć, że Sienkiewicz również był pisarzem komediowym.

— Znamienne jest to, że nie macie własnej sceny.

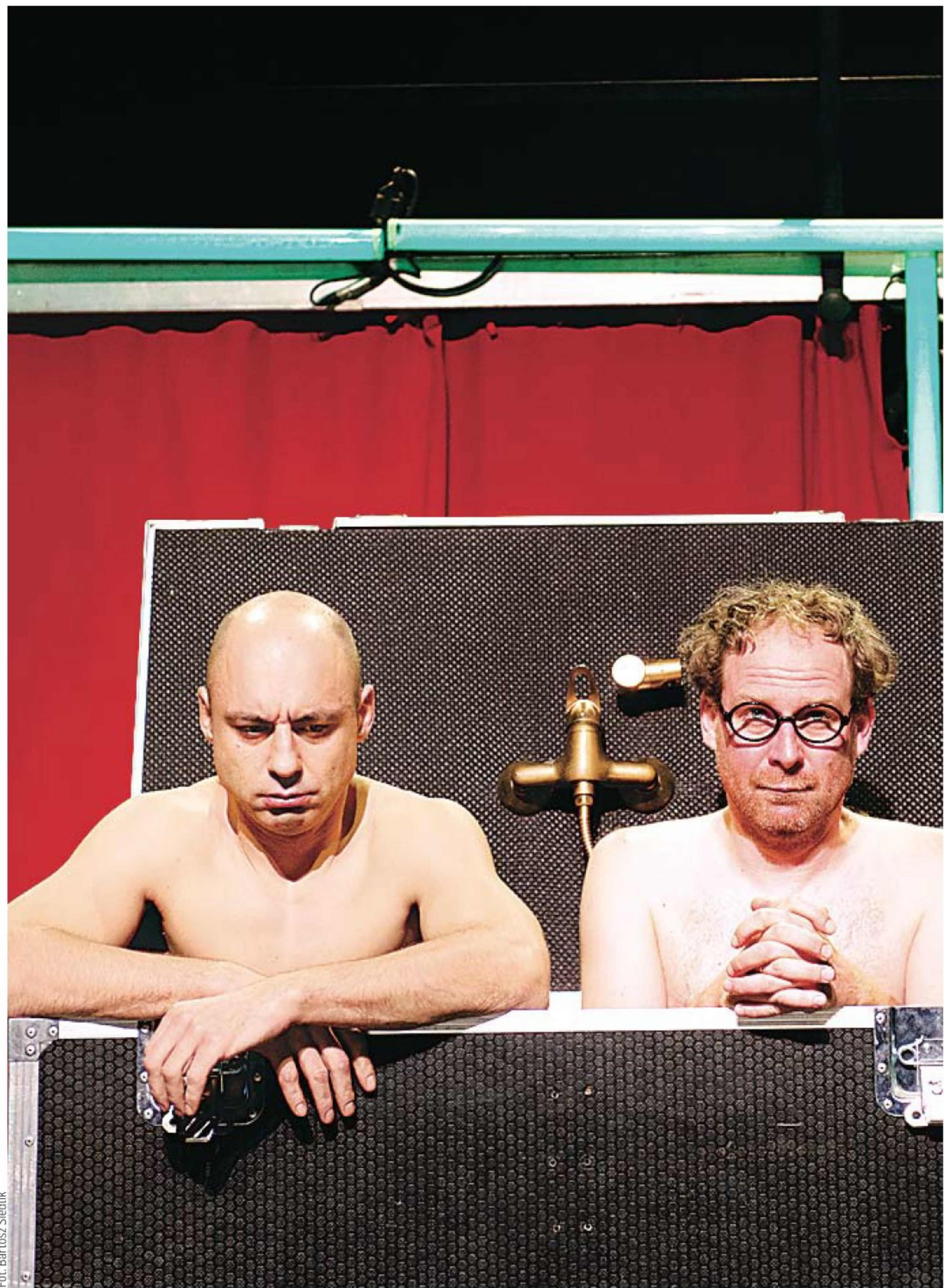
— I bardzo to sobie chwylimy i cenimy, ponieważ przytulają nas teatry o dużej renomie. Gramy obecnie u Krystyny Jandy w Polonii, w Och-teatrze, w Teatrze Powszechnym, gdzie zaczynałem swoją przygodę. Nie potrzebujemy własnej sceny, najważniejsze jest wspólne poczucie humoru, dystans do rzeczywistości i widzenie sensu tego, co się robi. My ten sens, o dziwo, widzimy od 20 lat. I mamy zamiar to kontynuować.

— Pański tata to znany geofizyk profesor Edward Perchuć. Przypuszczam, że rodzice nie popchnęli pana do aktorstwa?

— Miałem zamiar pójść w ślady ojca, jeździć po świecie i badać Ziemię.

— Równocześnie składał pan papiery na fizykę i zdawał do szkoły teatralnej?

— Tak, i dostałem się do obu. Wtedy na fizykę nie było egzaminów, ponieważ każdy od niej uciekał. To był 1992 rok i wszyscy chcieli być ekonomistami i zarządcaami nie wiadomo czego i wszystkiego. Jak mówiłem, dostałem się też do szkoły teatralnej, poszedłem do swojego dziekana na fizyce i zapytałem, czy jest możliwe, by przez rok trzymane było dla mnie miejsce, ponieważ pierwszy rok w akademii



Marcin Perchuć (na zdjęciu w środku): „Quo vadis” jest wielką epopeją, wielkim dziełem Henryka

teatralnej jest selekcyjny. Miałem otwarte drzwi, by na tę fizykę wrócić.

— Po co była panu ta szkoła teatralna, skoro chciał pan pójść w ślady ojca?

— Zdawałem do niej trochę z przekory i udowodnienia sobie czegoś. Chciałem się przekonać, czy ktoś we mnie coś zobaczy. I okazało się, że zobaczył. Później jednak też nie było kolorowo, ponieważ

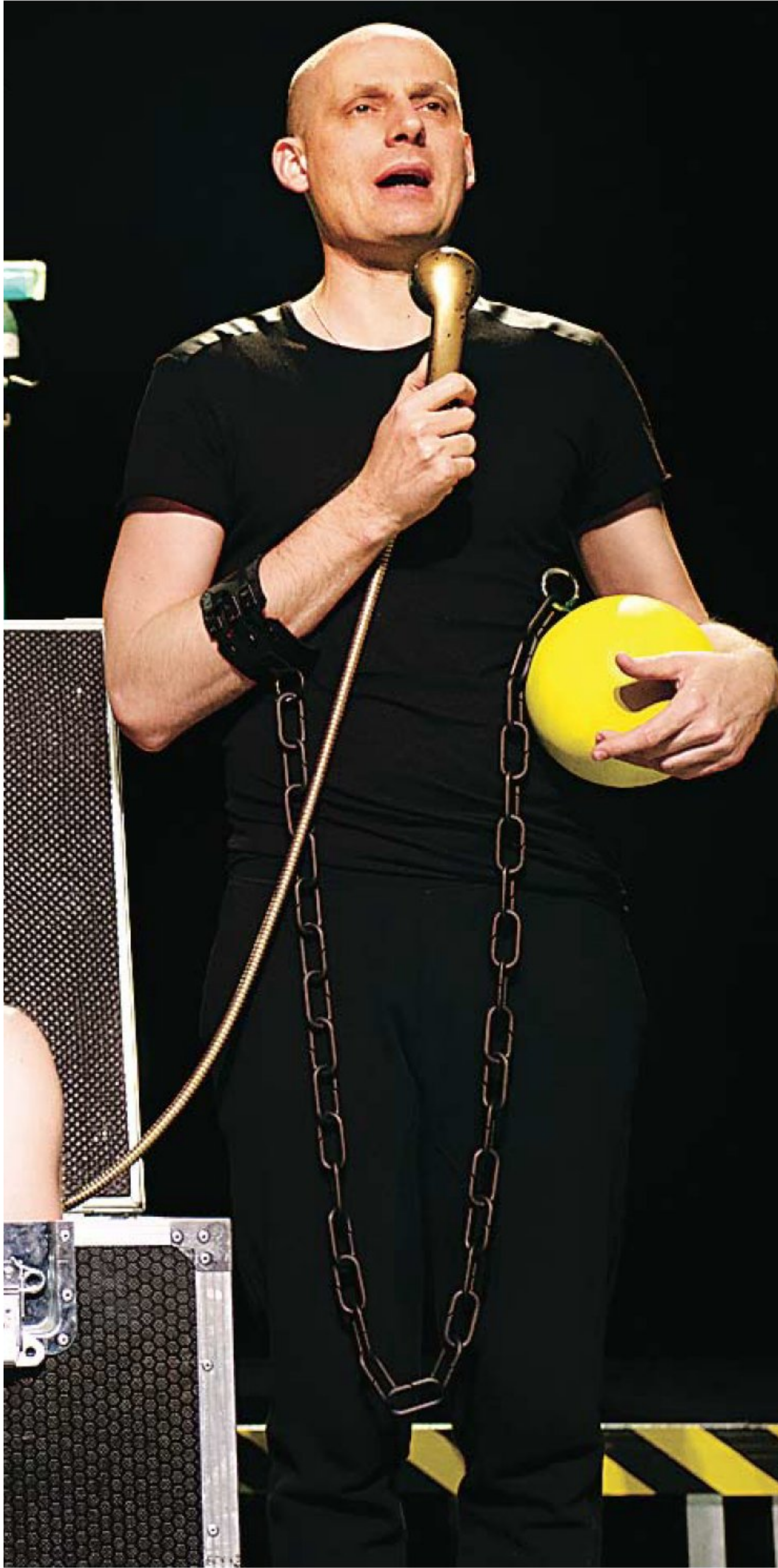
w trakcie studiowania powoli z tego zawodu rezygnowałem. Rozpocząłem pracę w radiu i dosyć dobrze mi się wiodło. Byłem nawet korespondentem zagranicznym. I gdyby nie przypadkowe spotkanie w metrze z jednym z kolegów, który współtworzył teatr Montownia, i to, że drugi z kolegów nie dostał pozwolenia od pracodawcy na zagranie w pierwszym jego

przedstawieniu, to dzisiaj pewnie byłbym dziennikarzem. Przypadek sprawił, że bawię się w aktorstwo.

— Do szkoły teatralnej dostał się pan za pierwszym razem, ale nie miał pan chyba łatwych studiów? Na trzecim roku jeden z profesorów oświadczył ponoć, że aktor raczej z pana nie będzie.

— To są emocjonalne studia,

I UZNAŁEM, ŻE TO FAJNY MOMENT



Sienkiewicza, więc stwierdziliśmy, że warto sięgnąć po tę powieść

dla wykładowców również. I jeśli młody człowiek nie miał wcześniej z teatrem nic do czynienia, to potrzeba czasu, by się przestawić. Od kilkunastu lat jestem wykładowcą w Akademii Teatralnej w Warszawie i z własnego doświadczenia wiem, że czasami przez tę emocjonalność jakieś niefortunne zdanie można chlapnąć. Jeżeli natomiast chodzi o zdanie, które

padło w moim kierunku, to wyszło mi na dobre.

— **To znaczy?**

— Ułatwiło mi to decyzję, by przenieść się do radia.

— **Skoro znowu mówi pan o radiu, to przejdźmy do dziennikarstwa. Długo szukał pan dla siebie właściwej drogi?**

— W ogóle jej nie szukałem. Korzystałem z tego, co się w życiu zdarza. I trochę speł-

niałem swoje marzenia. Pamiętam, że na początku lat 90., kiedy w Warszawie powstało klasyczne rockowe radio, to ciągle go słuchałem i wyobrażałem sobie, co by było, gdybym usiadł za jego mikrofonami. Przygodę zaczynałem w radiu Kolor, które było tworzone m.in. przez Wojciecha Manna i Krzysztofa Maternę. Później przyszło radio WaWa, z którym związałem się na dobre sześć lat.

— **W tym czasie był pan m.in. korespondentem podczas olimpiady w Atlancie w 1996 roku.**

— Miałem szczęście. Oczywiście radia nie było stać na to, żeby mnie wysłać za ocean. Byłem przez trzy miesiące u rodziny w Stanach Zjednoczonych i zapytałem, czy nie chcieliby mieć korespondencji z Atlanty. Poprosiłem tylko o pieniądze na sam pobyt w tym mieście. Nie chodziło o dużą sumę, ponieważ mieszkalem u znajomych. Nie miałem akredytacji na te wszystkie wydarzenia, robiłem więc trochę takie jakby paraolimpijskie sprawozdania, dosyć śmieszne. Jeśli mogę tak to ująć, pomagały mi również nieszczęścia i tragedie. Pamiętam przecież bombę w parku olimpijskim, która zablokowała igrzyska, w lipcu tego samego roku na ziemię spadł samolot lecący z Nowego Jorku do Paryża (zginęło 230 pasażerów — przyp. red.), w tym samym czasie w nowojorskiej Madison Square Garden za ciosy poniżej pasa został zdyskwalifikowany Andrzej Gołota.

— **Wokół ringu toczyła się też bójka. W szpitalu znalazł się menedżer Gołoty i sam bokser, który został uderzony w głowę radio-telefonem.**

— Widzi pan, to była kumulacja i okazało się, że ja akurat w tych ważnych miejscach byłem. A Atlanta była niesamowitym przeżyciem!

— **Mógł pan zrobić karierę za oceanem.**

— Po tych relacjach dostałem propozycję z kanadyjskiego radia.

— **I?**

— To był czas, kiedy w mojej głowie znowu był teatr. Początkowo przez kilka lat łączyłem go z radiem, jednak

zdecydowałem, że teatru nie porzucę.

— **Zagrał pan w wielu filmach i serialach. Mi najbardziej utkwił w pamięci serial „Ekipa” z 2007 roku, gdzie zagrał pan premiera Konstantego Turskiego. To był bardzo dobry serial.**

— Temat tego serialu był abstrakcyjny, ponieważ „Ekipa” była z gatunku political fiction. Były to zawirowania polityczne i rzeczywiście nasza polityka miała w tym czasie (serial jest z 2007 roku — przyp. red.) swoje apogeum konfliktowości. Agnieszka Holland ze swoim zespołem zrobiła go w sposób misyjny. Dlatego niektórym może się on wydawać czarno-biały, bajkowy czy niewiarygodny.

— **W serialu zagrał m.in. Janusz Gajos, który nie łąpie ról jak leci.**

— Oprócz pana Gajosa zagrała plejada aktorów z najwyższej półki. Miałem przyjemność zagrać m.in. z Andrzejem Sewerynem, Kasią Herman, Rafałem Maćkowiakiem, Krzysztofem Strońskim.

— **Moim zdaniem ten serial był przełomowy w pańskiej karierze.**

— Myślę, że ma pan rację. Do czasu serialu „Ekipa” grałem drugoplanowe role, zresztą bardzo ciekawe i przyjemne. Pojawiłem się m.in. w „Bulionerach” i „Oficerach”, więc nie narzekałem na brak pracy. Kiedy jednak zobaczyłem na plakacie siebie obok Janusza Gajosa, stwierdziłem, że nadszedł fajny moment.

— **„Bardzo dobry aktor. Niestety, niedoceniany” — to komentarz jednego z internautów na pański temat.**

— Matko Boska! Wie pan co, ja nie mam jakiegoś specjalnego osądu na ten temat. Czuje się bardzo doceniony.

— **Od 1997 roku wykłada pan w warszawskiej Akademii Teatralnej...**

— ...zaczynałem jako asystent con amore.

— **Czyli nie miał pan pensji!**

— Ani godzin nadliczbowych. Chciałem być uczciwy wobec siebie i akademii i zobaczyć, czy będzie mnie to kręcić. Wytrzymałem dwa

lata u boku Cezarego Morawskiego i do tego stopnia mi się spodobało, że odważyłem się pójść do dziekana i zapytać, czy nie znalazłoby się dla mnie miejsce. Przez siedem lat byłem asystentem prof. Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej. Jednocześnie zaczynałem prowadzić swoje zajęcia, najpierw z wiersza, a później z elementarnych zadań aktorskich. Uważam to za jedną z ciekawszych prac w mojej karierze, jeśli nawet nie najciekawszą.

— **Prowadzenie zajęć ze studentami traktuje pan jako odskocznię od kamery i desek teatru?**

— Traktuję to najpoważniej na świecie, ponieważ siła jest w młodych ludziach, którzy za chwilę będą tworzyć ten teatr. Dobrze jest mieć z nimi kontakt i doradzać im, która ze stron może być atrakcyjna i jak to rzemiosło, którego liźnałem i wykorzystuję w praktyce, kształtować w sobie. Rzemiosło to podstawa tego zawodu, a wszystkie artystyczne rzeczy i zjawiska, które temu towarzyszą, zdarzają się. Przede wszystkim trzeba być dobrym rzemieślnikiem.

— **Łatwo jest w ogóle uczyć kogoś, jak ma się zachowywać na scenie i że aktorstwo to nie bycie celebrytą?**

— Te światy tak się mieszają, że trudno dzisiaj o definicję „celebryctwa”. Czasami w teatrach są zatrudniani ludzie, którzy nie mają tego rzemiosła i nie skończyli szkoły, a świetnie sobie radzą. Taki jest świat. Jeśli chodzi o naukę aktorstwa, to, moim zdaniem, nie jest to możliwe. Nie można nauczyć człowieka wrażliwości i talentu. Zajęcia w akademii to są spotkania, z których młodzi czerpią dużo, jednak ośmielę się stwierdzić, że z tych spotkań jeszcze więcej ja czerpię.

— **Internet donosi, że studia ukończył pan w 1996 roku w wieku 23 lat, ale dyplom uzyskał dopiero po 11 latach.**

— To przekłamanie, ponieważ dyplom również uzyskałem w 1996 roku.

— **Trzeba poprawić pański życiorys w Wikipedii.**

— Za chwilę to zrobię (śmiech)!



MARCIN PERCHUĆ urodził się w 1973 roku w Warszawie. Aktor teatralny, filmowy, telewizyjny i dubbingowy. Absolwent II LO im. Stefana Batorego w Warszawie. W 1996 roku ukończył studia w PWST w Warszawie. W teatrze zadebiutował w tym samym roku w roli Sylwestra w „Szelmostwach Skapena” Moliera na scenie Teatru Powszechnego w Warszawie. Aktorem tego teatru był w latach 1996-1999, a w latach 1998-2000 grał w Studio im. Stanisława Ignacego Witkiewicza. Od 2001 roku jest aktorem grupy Montownia (tworzą go ponadto: Adam Krawczuk, Rafał Rutkowski i Maciej Wierzbicki). Zagrał w filmach, m.in. „Quo vadis”, „Mała wielka miłość”, „Wkręcenie 2”, i serialach, m.in. „Ekipa”, „Oficerowie”, „Trzeci oficer”, „Pitbull”.
Źródło: Filmpolski.pl.